



Mamy to! Radio Wrocław zostało Europejską Stacją Radiową Roku 2016 str.4

Powiedzieli w Radiu Wrocław Kultura str. 3

# emocje



magazyn kulturalny RADIA WROCLAW KULTURA

egzemplarz bezpłatny

wiosna 2017

# FILMOWY

**Powstały tu dziesiątki filmów, zarówno mistrzów polskiej kinematografii, jak i hollywoodzkie hity. Filmy to niewątpliwy sposób na promocję regionu. Miejsca, w których były kręcone, to magnes na turystów.**

Wymarzona podróż? Nowa Zelandia Bag End 1 na Bagshot Row, Hobbiton. Trudno się dziwić nowozelandzkim liniom lotniczym, które w 2012 roku z okazji premiery filmu Petera Jacksona „Hobbit: niezwykła podróż” przemalowały swoją flotę w barwy Śródziemia, a pasażerów obsługiwały elfki. Nowa Zelandia zmieniła nawet, czasowo, nazwę swojej stolicy na Centrum Śródziemia.

Czy w takim wypadku powinniśmy myśleć o Dolnym Śląsku jak o Rivii, miejscu narodzin wiedźmina Geralta? To właśnie na dolnośląskim zamku Czochoa powstawał film „Wiedźmin” Marka Brodzkiego z 2001 roku. Prawda, że większość widzów wolałaby pewnie to doświadczenie wyprzeć z pamięci, jednak zamek mógłby służyć za miejsce zlotów fanów Białego Wilka, zwłaszcza po sukcesie gry. Tymczasem, spotykają się tam fani... Harry’ego Pottera.

W 2006 roku zabytek gościł kolejnych filmowców, przygotowujących trzyodcinkowy serial „Tajemnica Twierdzy Szyfrów”. Na potrzeby produkcji dobudowano specjalny tunel, sekretne przejście, jakiego nie powstydziliby się żadna forteca. Tu fikcja zderzyła się z rzeczywistością, która spersonifikowała się w postaciach okolicznych mieszkańców. Ci,



# REGION

przekonani, że tajemniczy tunel to prozaiczny kanał ściekowy, szybko dali znać stosownym władzom. Afera wybuchła szybko i szybko została wyjaśniona. A ostatnio Czochę (wraz z m.in. Lubiążem) wybrał do scen swojego najnowszego dzieła Lech Majewski. Dol-

ny Śląsk stał się „Doliną Bogów”, gdzie reżydowali John Malkovich i Josh Hartnett.

Parku Narodowego Gór Stołowych i słynnych Błędnym Skal nie trzeba przedstawiać nikomu, informacja dotarła również do Andrew Adamsa, reżysera „Opo-

wieści z Narnii”. Co prawda, nie kręcił tam pierwszej części trylogii, ale po przeprowadzeniu dokumentacji odtworzył ją w studiu filmowym. Trzy lata później wrócił. W Błędnym Skalach nakręcił sceny do filmu „Książę Kaspian”. Podobno reżyser był bardzo za-

dowolony ze skal. Nie podobał mu się za to las, który uznał za zbyt patyczasty, w efekcie czego ekipa przez cały dzień wybierała patyki ze ściółki.

Bystrzyca Kłodzka zagrała z kolei w filmie Kazimierza Kutza „Nikt nie woła”. **czytaj str.2**

**3** sposoby jak odbierać Radio Wrocław Kultura



poprzez darmową aplikację mobilną



tradycyjny odbiornik (koniecznie z cyfrowym systemem DAB+)



na stronie [www.radiowroclawkultura.pl](http://www.radiowroclawkultura.pl) (tutaj można nas także zobaczyć w wysokiej jakości transmisji wideo)

## PIERWSZA STATUETKA EMOCJI W RĘKACH LAUREATÓW

MIESIĄC LWOWSKI zdobył pierwszą w tym roku Emocję - nagrodę Radia Wrocław Kultura. Kategoria: Wydarzenie Roku 2016. Laureaci odebrali dyplom za nominację i statuetkę ze specjalnie wygrawerowaną laudacją. Miesiąc Lwowski zajął pierwsze miejsce w naszym plebiscycie, na drugim znalazły się DZIADY-CALOŚĆ w Teatrze Polskim, na trzecim stopniu podium ZAPOMNIANE MIASTO. W finałowej piątce znalazły się jeszcze: OLIMPIADA TEATRALNA i KONCERT DAVIDA GILMOURA. Nasza redakcja zadbała

o nominacje (na początku było ich aż 15), głosowali Słuchacze za pomocą formularza na stronie internetowej.

Statuetkę wręczyliśmy w Wieczorze z Kulturą. Miesiąc Lwowski (w jego wszystkich wydarzeniach uczestniczyło sto tysięcy osób) reprezentowali: Olga Chrebor (koordynatorka wydawnictwa), Dana Vynnytska (Dagadana), Tomek Sikora (Karbido).

Na statuetce widnieje następująca laudacja: „za ogromną twórczą energię, która opanowała kulturalny Wrocław w pełnym

emocji roku Europejskiej Stolicy Kultury”.

Przypominamy, że od ubiegłego roku Radio Wrocław Kultura przyznaje Emocje - nagrody, którymi doceniamy najważniejsze dzieła i twórców kultury. Rok temu w styczniu pierwsze siedem Emocji powędrowało do laureatów. Od 2017 będziemy przyznawać Emocje na koniec sezonu kulturalnego, w czerwcu. Wtedy też ogłosimy nominacje w poszczególnych kategoriach: film, literatura, muzyka, sztuka, teatr.

**Grzegorz Chojnowski**



Na zdjęciu od lewej: Grzegorz Chojnowski, Olga Chrebor, Tomasz Sikora, Dana Vynnytska





## Filmowy region

ciąg dalszy ze str. 1

Reżyser w zeszłym roku na 55-lecie powstania filmu przyznawał, że miasto było wtedy bardzo zaniedbane, ale właśnie takiego potrzebował. Film na stałe zapisał się w pamięci mieszkańców, również w postaci płaskorzeźby, która otworzyła Kryształową Aleję Gwiazd poświęconą artystom związanym z miastem.

W obiektywie kamery chętnie przeglądała się też Legnica. Waldemar Krzystek nakręcił tam „Małą Moskwę” i „Fotografa”. Twórcy nie kryli zdziwienia, kiedy po prośbie o prywatne pamiątki z okresu Małej Moskwy mieszkańcy zasypali ich najróżniejszymi rekwizytami. Legnica grała również w „Kiedy miłość była zbrodnią” Jana Rybkowskiego, „Jacku Strongu” Władysława Pasikowskiego czy „Double Ironmanie”, nowym filmie Lukaszka Palkowskiego.

Filmową popularnością cieszy się od lat Zamek Książ. Tu należy wymienić choćby „Hrabienę Cosel” z Jadwigą Barańską czy „Trędowatą” z Elżbietą Starosteczką w rolach tytułowych. Władze zamku zwiertziły promocyjny potencjał filmowych historii, przez co wiele osób uważa, że film „Magnat” Filipa Bajona kręcono wia-

śnie na Książu. Faktycznie był to pałac w Pszczynie. W jednej ze scen erotycznych (słynnej scenie makowej) bohaterowie (czyli Szapolowska z Lindą) odbywają stosunek w pałacowej kuchni. Zainspirowani tą sceną zarządcy zamku zdecydowali o wprowadzeniu do oferty kulinarnej makowca. Książ oferuje specjalny spacer śladem kręconych w nim filmów, a Wałbrzych widać też np. w „Komorniku”, „Sztuczach” czy „Bez wstydu”.

Na koniec oczywiście Wrocław, tu w samej Wytwórni Filmów Fabularnych nakręcono blisko pół tysiąca filmów. „Popiół i diament”, „Giuseppe w Warszawie”, „Pamiętnik znaleziony w Saragossie”, „Lalka”, „Sami swoi”, „Salto”. Has, Checiński, Lenartowicz, Wajda, Piwowarski, Kutz, Żulawski. Tu, m.in. w Manhattanowcu, powstawało „80 milionów” Waldemara Krzystka. Wrocław grał w japońskim filmie „Avalon” Mamoru Oshii czy „Straży nocnej” Petera Greenawaya, był plenerem

holenderskiego „Charakteru” Mike’a van Diema (Oscar dla najlepszego filmu nieanglojęzycznego w 1998 roku), a nawet Warszawą z „Miasta 44” Jana Komasy (ten sam reżyser zrealizował tu część zdjęć do „Sali samobójców”).

To właśnie Wrocław odwiedził incognito Steven Spielberg, szukając lokacji do swoich filmów. Za pierwszym razem skończyło się na pierogach ruskich w barze Miś, ale potem było już imitowanie Berlina w filmie „Most Szpiegów”. Podobno i tym razem Spielberg (wraz z Tomem Hanksem) jadł pierogi. Zastanawia tylko, jak urodzony we Wrocławiu Janusz Kamiński – operator Spielberga – tłumaczy mu, że koniecznie musi zjeść polskie danie narodowe – pierogi ruskie.

Na Dolnym Śląsku robi się coraz więcej filmów. Na ekranach od lutego „Pokot” Agnieszki Holland (wg powieści dolnośląskiej pisarki Olgi Tokarczuk), a już rozgrzewa się hollywoodzka gwiazda Robert Schventke z „Kapitanem”. Tutaj swój nowy film ma też kręcić Paweł Pawlikowski. No i wiemy, że drugi sezon serialu „Belfer” zawita do Wrocławia.



RADIO  
WROCLAW  
KULTURA  
Krzysztof Majewski

Kultura DAB+ Film

piątek 16:00–20:00

## WAGLEWSKIEGO AUTOPORTRET PODWÓJNY

Gdybyśmy słowa głównego bohatera obu książek potraktowali serio (on sam twierdzi, że mówi to serio, choć nieobiektywnie), trzeba by uznać Voo Voo za najlepszą grupę na świecie. – Nie znam zespołu – mówi Wojciech Waglewski, uzasadniając swoją tezę – w którym każdy z muzyków miałby takie umiejętności i takie osiągnięcia. Skoro tak, to może faktycznie zasługuje na dwa wydawnictwa naraz.

Szczerze mówiąc, nie przypominam sobie podobnej sytuacji, żeby w odstępie zaledwie paru miesięcy ukazały się dwie różne książki o tym samym artyście, wykorzystujące przy okazji identyczną formułę: wywiadu-rzeki. Różnica jest taka, że w „Dzień Dobry Wieczór” oprócz Waglewskiego przepytujemy się także pozostali muzycy obecnego składu Voo Voo, natomiast w „Waglu” mówi wyłącznie on sam (choć w dużej części o tym samym). Inna sprawa, że ta sama anegdota potrafi w obu książkach zabrzmieć trochę inaczej. Jak ta z Władysławem Pasikowskim. W jednej książce reżyser pyta Waglewskiego, czy nie napisałby mu muzyki „pod” Nino Rotę, w drugiej zaś „pod” Ennia Morricone. W obu publikacjach odpowiedź jest taka, żeby Pasikowski najpierw zrobił taki film jak Coppola.

Widać też, że ewoluuje stosunek autora do własnych dzieł. Przepytany przez Piotra Metz, o albumie „Sno-powiązanka” wypowiada się z lekkim dystansem („mam mieszane uczucia”), w rozmowie z Wojciechem Bonowiczem zalicza zaś go do najważniejszych swoich dzieł („Bardzo lubię tę płytę”). O ile w przypadku książki „Wagiel” pomysł jest klarowny: poznajemy historię muzyka – prywatną i zawodową – opowiedzianą jego własnymi słowami, o tyle koncepcja „Dzień Dobry Wieczór” (żeby bohaterami uczynić wszystkich mu-

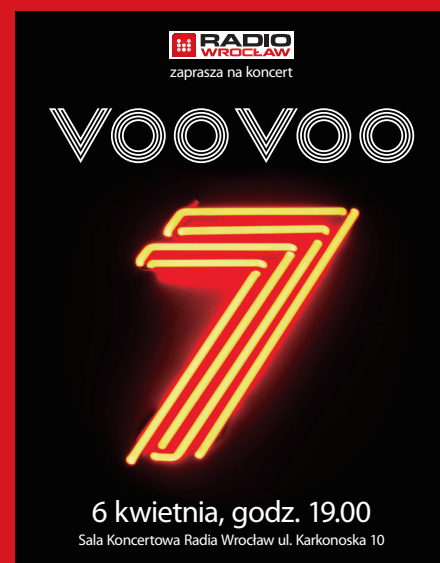
zyków grających dziś w Voo Voo) wydaje się dość kontrowersyjna, bo jednak z większością najważniejszych płyt zespołu podłowa obecnego składu nie ma nic wspólnego. Inna sprawa, że akurat historia basisty jest bardzo interesująca i zdecydowanie warta opowiedzenia. Karim Martusewicz kręcił się przy zespole już jako nastolatek, był sąsiadem poprzedniego basisty, praktycznie więc całe jego muzyczne życie w mniejszym lub większym stopniu miało związek z Voo Voo. Nasuwa się jednak pytanie, czy nie można było porozmawiać dodatkowo z innymi instrumentalistami, jacy przewinęli się przez skład grupy?

Książka „Dzień Dobry Wieczór” koncentruje się na muzyce. Zaczyna się wraz z sesją „I Ching”, a więc w momencie, gdy Waglewski – z koncertującego z Osjanem obiecywiata oraz krajowego muzyka do wynajęcia – staje się samodzielnym ważnym twórcą. W „Waglu” legendarna sesja pojawia się dopiero na stronie 130. Bo to nie tylko portret (czy też

autoportret, jak kto woli) artysty, ale i człowieka, przynoszący parę dosyć zaskakujących wątków. Waglewski robi na przykład następujące wyznaczniki: jest taki mój obraz jako osoby statecznej i niezłomnej. Tymczasem miewam niekiedy przejawy hysterii czy czegoś podobnego (...). Często przeżywałem huśtawki: od wybuchów radości po gwałtowne spadki nastroju. Całe swoje życie pamiętam jako niezwykle rozchwiane. Może dlatego staram się być taki spokojny na zewnątrz. Są momenty, kiedy po prostu wstydę się swoich słabości.

Chyba już każda krajowa rockowa legenda doczekała się książkowej biografii. Tymczasem o tym jednym z najważniejszych i najbardziej oryginalnych twórców i zespołów w historii naszej sceny (który ma akurat kolejną zwyżkę formy) nie było do tej pory na rynku nic. Teraz zaległości nadrabiane są hurtowo. Zastanawiam się, jak obie książki poradzą sobie na rynku. W pewnym sensie przecież ze sobą konkurują. Ale to już problem wydawców. Jeśli o mnie chodzi, mógłbym przeczytać i trzecią.

Piotr Metz, „Voo Voo. Dzień Dobry Wieczór”, Wyd. Agora  
Wojciech Waglewski, Wojciech Bonowicz, „Wagiel. Jeszcze wszystko będzie możliwe”, Wyd. Znak



6 kwietnia, godz. 19.00  
Sala Koncertowa Radia Wrocław ul. Karłowska 10



Radio Wrocław Kultura w rozmowie z nowym dyrektorem Muzeum Współczesnego Wrocław Andrzejem Jaroszem

## WIZUALNE IMPULSY

**Maciej Przystański:** O tym, że MWW nie jest łatwą przestrzenią wystawienniczą, mówiliśmy w Radiu Wrocław Kultura wiele razy. Pan ma jednak pewną czułość do tego obiektu. Czy tam można sobie na coś pozwolić bardziej, czy jakaś sztuka z Pana perspektywy czuje się tam lepiej, a jakaś niekoniecznie?

**Andrzej Jarosz:** Każdego dnia nowym okiem oglądam miejsce znane wcześniej tylko z wystaw czy wernisaży. Zastanawiam się nad emocjami, które może budzić np. w kontekście historycznym. Pamiętamy, że ten schron pełnił także funkcje lazaretu, był świadkiem wielu dramatycznych wydarzeń. Czy każda sztuka dobrze wygląda w tym miejscu? Posłużę się kategorią, która jest znana historykom sztuki i artystom współczesnym. Chodzi o site-specific, dzieła tworzone właśnie z myślą o funkcjonowaniu w określonej, często nietypowej przestrzeni. Budynek muzeum i jego wnętrza to nie jest standard modernistyczny, czyli białe, duże i puste wnętrza, tzw. white cube. Artysty i kuratorzy za każdym razem podchodzą do tej przestrzeni z namysłem. Trzeba działać bardzo rozważnie w tych zaszczepionych i nawarstwionych piętach, okregach, korytarzach, bez mała – jak w labiryncie. To jest wyzwanie dla kolejnych kuratorów. Kłopotliwe jest konstruowanie zwłaszcza dużych problemowych pokazów. Wyzwa-

niu temu sprostala np. prezentacja kolekcji własnej Muzeum Współczesnego Wrocław, wystawa „Stosunki Pracy”.

**Czy ma Pan pomysł na to, jak zachęcać wrocławian do Muzeum Współczesnego? To przecież sztuka niekoniecznie łatwa w odbiorze.**

Myślę, że kluczowe jest tu ponowne przemyslenie sentencji znanej z pracy Stanisława Dróżdża, która widnieje nad wejściem do muzeum: „było, jest, będzie”. Skoncentrowanie się na sztuce i ordeniu awangardowym i neoawangardowym jest podstawą i ideowym punktem wyjścia MWW. Warto pamiętać jednak też o początkach sztuki we Wrocławiu po 1945 roku, epoce dbałości o formę, sztuce modernistycznej, która była podglebiem późniejszych działań awangardowych, związanych z kluczową działalnością Jerzego Ludwińskiego, Galerii Pod Moną Lisą czy Sympozjum Wrocław '70. Pamiętamy także, że obecna działalność muzeum i prezentowana w nim sztuka będzie punktem odniesienia dla kolejnych epok. Powinna więc sięgać w przyszłość, a czasami nawet ją projektować. Jest też inny bardzo ważny aspekt działalności Muzeum, mianowicie debaty i spotkania – program społeczny. Muzeum to tradycyjnie instytucja skoncentrowana na zachowaniu spuścizny i pamięci kulturowej poprzez budowanie kolekcji własnej. Muzeum Współczesne

jest wszakże skierowane także ku temu punktowi na osi czasu, który jest nam najbliższy. Dlatego bieżące komentowanie rzeczywistości społecznej i punktującej ją sztuki jest tak istotne. Wrocław, który pojawia się w nazwie naszej instytucji to główny punkt odniesienia nie tylko dla mieszkańców miasta, ale też dla gości z zewnątrz. Te trzy elementy muszą się uzupełniać, równoważyć – gromadzenie kolekcji własnej muzeum, program wystaw i program społeczno-edukacyjny. Powinno temu towarzyszyć wciąż ponawiane, otwar-

**Wrocław, który pojawia się w nazwie naszej instytucji to główny punkt odniesienia nie tylko dla mieszkańców miasta, ale też dla gości z zewnątrz.**

te zaproszenie dla wszystkich mieszkańców Wrocławia, zarówno dla stałych bywalców, jak i tych, którzy do nas, na Plac Strzegomski, jeszcze nie dotarli.

**Klasyk sposobem na pozyskanie nowych widzów jest zaproszenie gwiazdy, wielkiego nazwiska.**

Taką gwiazdą w skali światowej jest Sir Tony Cragg, wybitny angielski rzeźbiarz, jeden z gigantów sztuki współczesnej. Trzeba przy-

pomnieć, że należy do pokolenia takich wybitnych twórców brytyjskich, jak Anish Kapoor, Antony Gormley czy Mark Wallinger. Ich twórczość wypływa po części z doświadczeń modernistycznej szkoły rzeźby zapoczątkowanej przez Henry’ego Moore’a, Barbarę Hepworth czy Lynnę Chadwick. Formuła wypracowana przez Cragga, doskonale rozpoznawalna od lat 1980. (choć głównie poza granicami naszego kraju), wciąż wydaje się niezwykle atrakcyjna. Obecna odsłona wystawy (główna prezentacja miała miejsce w Cen-

wia.

**Rok 2017 to będzie ciekawy dla nas rok w MWW?**

Po rzeźbie Cragga, sztuce niewątpliwie o wysokim statusie i jakości artystycznej, można spodziewać się także innych interesujących propozycji, na przykład znakomitych fotografii. Myślę, że widzów może zainteresować wystawa jubileuszowa z okazji 70-lecia Wrocławskiego Okręgu ZPAF, a później, w połowie roku, fotografia Gordona Parksa – wybitnego fotografa amerykańskiego, dokumentującego w latach 1960. i 70. problemy kulturowe o podłożu rasowym. To jest rzecz warta polecenia i zobaczenia.

**Na koniec mam pytanie nieco bardziej osobiste, Pan, jako naukowiec, zajmuje się sztuką po roku 1945. Co Pana zainspirowało, kiedy był Pan jeszcze studentem, żeby iść w tym właśnie kierunku?**

Po przyjeździe do Wrocławia na studia w 1989 r. pierwszy obraz, który zobaczyłem, który mnie prawdziwie poruszył i zainspirował to był obraz Józefa Hałasa – jedyna z „Gór” z lat 1980. Coś nie do

końca zrozumiałego, coś na granicy konkretności i abstrakcji, coś wytrawnego jeśli chodzi o kolor, i coś wyszukanego w strukturze. To zapadło mi w pamięć. Po wielu latach spotkałem się z profesorem Hałasem i opowiadałem mu o tym właśnie pierwszym impulsie wizualnym. On z kolei opowiedział mi historię z 1946 r., kiedy po raz pierwszy przyjechał do Wrocławia. To, co go zdumiało i co go zartymało w tym zrujnowanym mieście, to była obejrzana w galerii czy wystawiona w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych prace malarska Eugeniusza Gepperta. I wtedy Hałas pomyślał, że też chciałby tak profesjonalnie i interesująco malować... Te dwie anegdoty spłyły się w mojej pamięci i przelożyły się na późniejsze doświadczenia zawodowe. Rozmowy z Hałasem, Janem Chwałczykiem i Krzesławą Maliszewską zapoczątkowały spotkania z kolejnymi artystami wrocławskimi, wprowadzając mnie w zagadnienia wrocławskiej sztuki lat 1950., 60. i 70. To otworzyło mnie na szersze konteksty sztuki, zarówno polskiej, jak i europejskiej.

**Jest co opowiadać w Muzeum Współczesnym...**

O tym, jak było ze sztuką we Wrocławiu, w Polsce i na świecie. Jak jest i jak będzie...

Kultura DAB+ Sztuki wizualne

środa 16:00–20:00



# FASCYNUJĄCA PLĄDROFONIA

**Wśród wielu różnych rzeczy, do słuchania których zapraszam w swoich cotygodniowych podróżach po zakamarkach mojej płytoteki, dużo miejsca zajmuje muzyka plądroniczna.**

„Plunderphonics” [plądronofonia] to termin ukuty przez kanadyjskiego kompozytora Johna Oswalda, użyty po raz pierwszy w opublikowanym przez niego w 1985 r. eseju „Plunderphonics, or Audio Piracy as a Compositional Prerogative” [Plądronofonia, czyli audiopiractwo jako prerogatywa kompozytorska], a następnie jako tytuł jego wydanego w 1989 r. albumu.

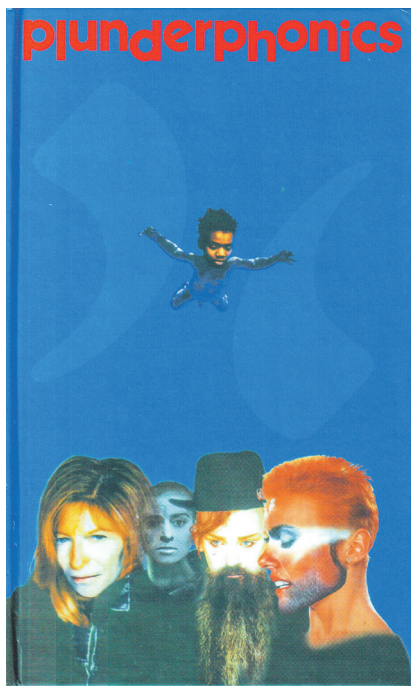
Dzisiaj szeroko pojętym terminem plądronofonia określa się wszelkiego rodzaju działalność muzyczną, polegającą na modyfikacji, manipulacji, samplowaniu czy innego rodzaju przeróbkach istniejącego już materiału (bo niekoniecznie musi to być akurat piosenka) audio. Najczęściej stosuje się go w odniesieniu do kompozycji złożonych tylko i wyłącznie z dźwięków „splądrowanych” (tak jak np. w przypadku turntablismu).

## MUZYCZNY RECYKLING

Sample wykorzystywane w muzyce plądronicznej nie są zwykle legalizowane [tego słowa będę używał z braku jakiegoś lepszego polskiego odpowiednika terminu „sample clearance”], nie-

rzadko dla zasady, jako wyraz protestu przeciwko przesadnie – a nawet absurdalnie – restrykcyjnemu prawu w zakresie ochrony praw autorskich.

Plądrono-sztuka istnieje od za-



wsze, i zawsze będzie istniała – bo czyż wszystko, co jest, nie powstało z, na skutek, pod wpływem, albo nawet na przekór temu, co było? Przecież już od lat na każdym kroku zachęca się nas do odzysku, utylizacji, recyklingu – dlaczego więc jest to dobre w przypadku wytworzonego przez ludzkość zło- ma, makulatury czy plastikowych butelek, ale już nie w przypadku dźwięków? Co innego przecież, kiedy ktoś zawłaszcza, podpisuje się swoimi nazwiskiem pod cudzym dorobkiem, a zupełnie co innego, jeśli ktoś korzysta po prostu z dorobku ludzkości jak z klocków lego, po to, by zbudować z tego coś zupełnie innego, nowego.

Moja fascynacja plądronofonią i samplowaniem zaczęła się jeszcze zanim dowiedziałem się o istnieniu Johna Oswalda, zanim skonstruowano pierwszy sampler, i zanim wreszcie samplowanie stało się tak powszechne, że aż trudno jest sobie wyobrazić współczesną muzykę bez niego.

W roku 1980 znalazłem się w Australii, i tam zacząłem po raz kolejny (od)budować swoją płytotekę. Wielowłatkowo. Rozpędu nabierać zaczął właśnie rap, kupowałem więc wszystko, co trafiało do specjalizującego się w czarnej muzyce sklepu. Kupowałem też to, co już kiedyś wcześniej miałem, albo mieć chciałem. Oraz całe mnóstwo rzeczy, o których albo wcześniej nie wiedziałem, albo które akurat wtedy się rozdziły.

## GŁOSY KULTURY I NATURY

Czy to pod wpływem „19” Paula Hardcastle’a, industrialno-hiphopowych kawałków grupy Tachead, czy może jeszcze wcześniej, zacząłem kupować wszystko to, w co wklejone były „głosy” – Kennedy’ego, Reagana, Thatcher, Wojtyły, kultowego komika Lenny’ego Bruce’a, przywódcy strajkujących górników Arthura Scargilla, Malcolma X, Martina Luthera Kinga, przywódcy Albanii Envera Hoxhy, cokolwiek – nawet jeśli było to zaledwie kilka minut na skądinąd kompletnie mnie nieinteresującym albumie. W konsekwencji sięgnąłem po same „głosy” – tj. płyty z ich naukami, przemówieniami, rozmaite składanki (np. z najważniejszych wypowiedzi XX wieku).

Odkryłem jedną z może najważniejszych postaci kultury XX wieku – Williama S. Burrough-

sa, rzuciłem się więc kupować wszystkie jego książki, ale i płyty – tak, te, na których czytał fragmenty swoich powieści, jak i te, na których pod jego głos podkładano najrozmaitszą muzykę (np. Kurt Cobain, Gus Van Sant, Bill Laswell, The Disposable Heroes Of HipHoprisy). To właśnie on był jednym z pionierów techniki cut-up, którą zastosował przy kilku swoich powieściach, kolożach, ale i muzycznie, szczególnie na płycie „Break Through In Grey Room”, gdzie znalazł się min. kawałek „Origin and theory of the tape cut-ups” (w tamtych czasach „samplowano” i manipulowano dźwiękiem poprzez cięcie i klejenie taśmy magnetycznej, coś, czego guru

Peter Gabriel, Jean Michelle Jarre, Alan Parsons, Laurie Anderson). W mniej więcej tym samym co Fairlight czasie w Anglii powstał natomiast Synclavier, którego używał z kolei jeden z moich muzycznych guru wszech czasów, Frank Zappa, ale też i Kraftwerk, John McLaughlin, Pat Metheny, i wielu innych.

[I tutaj mała ciekawostka: nie tak dawno temu tenże sam Fairlight CMI pojawił się na rynku... jako app na iPhone’a i iPada, za ok. 8 euro w wersji pozwalającej „jedy-

nie” na odgrywanie całego oryginalnego banku dźwięków, i bodaj ok. 30 euro w wersji pozwalającej również na samplowanie swoich własnych dźwięków!]

W roku 1986 nowozelandzkiy Graeme Revell (którego wszyscy kojarzą dziś zapewne z muzyką do serialu CSI, ale też i jako kompozytora muzyki do wielu innych seriali i filmów), wówczas lider popularnej na całym świecie australijskiej grupy SPK, grającej ciężki eksperymentalny industrialny funk, wydał swój solowy projekt – „The Insect Musician”, owoc dwóch lat podróży po Australii, Europie, Afryce, Indonezji i Ameryce Północnej i nagrywania... dźwięków owadów, które następnie wgrał do Fairlighta CMI właśnie, i „zagrał nimi” tę płytę. Towarzyszy jej wkładka, ilustrująca i szczególnie opisująca techniki wydawania dźwięków przez poszczególne owady w rozmaitych okolicznościach.

## FANTASTYCZNE SAMPLOWANIE

I wreszcie grupa, która wtedy wywarła na mnie może największe wrażenie i radykalnie odmieniła moje postrzeganie kwestii samplowania i ochrony praw autorskich – Negativland. Nazwę, jak też i nazwę swojej wytwórni płytowej, zawdzięczają (wysampłowali?) tytułom kawałków legendarnej niemieckiej krautrockowej grupy Neu! (swoją drogą, w tym czasie kupowałem też bardzo dużo ówczesnej niemieckiej nowej fali – Neu!, Can, Amon Düül II, Ash Ra Tempel, Faust, Popol Vuh, Cluster, Tangerine Dream, Klaus Schulze, Kraftwerk, Klaus Krüger itd.). Ich pierwsze 3 albumy to klasyczne

W roku 1979, właśnie w Australii, powstał Fairlight CMI. Sprzedano ich w sumie ok. 300 szt., kosztował między 50 a 100 tys. ówczesnych dolarów (!), mogli więc sobie na niego pozwolić tylko „najwięksi” (jak Stevie Wonder,



# SIŁA PIOSENKI

**Piosenka jest dobra na wszystko. Tak śpiewali przed laty Starsi Panowie. I nic się pod tym względem nie zmieniło. Szczęśliwym podbije poziom endorfin. Smutnych pocieszy. Waha-jących się zagrzeje do boju. Wściekłym na świat pozwoli nabrać dystansu.**

Wrocław piosenką, tą aktor- ską, silny był odkąd pamiętam. Do tego stopnia, że podczas niektórych edycji tę siłę ledwo wytrzymywały szyby w drzwiach Teatru Polskiego przed koncertem galowym – taki był napór części widowni, dla której nie wystarczyło bileto- w. Ale mam wrażenie, że w tym roku, piosenka objawi nam nową moc. Że podczas kilku koncertów będziemy w stanie doświadczyć siły pozwalającej uderzać, komentować, ba! kto wie – może rozbić i zmieniać rzeczywistość.

Czym jest piosenka? Ta statystyczna nie trwa dłużej niż trzy minuty, ma dwie-trzy zwrotki i refren. W tej literacko-muzycznej miniaturze drzemie potężna siła. Uwodzi mariażem tekstu i muzyki – najbardziej udane (i – co brzmi paradoksalnie – te udane najmniej) siedzą uparcie w głowie i nie chcą z niej wyjść. Uczepione jak rzep psiego ogona każą wybić rytm

stopą w tramwaju i nucić głośno w kuchni czy łazience, niezależnie od wokalnych predyspozycji. Rymują się z ważnymi chwilami w naszym życiu – TYM momentem, kiedy go (ją) spotkałam, TYMI wakacjami, TĄ lekturą, TAMTĄ podróżą. Każdy ma w głowie taką playlistę. Niektóre z nich się łączą, odsłaniają wspólne pola.

Tak było z czarnymi marszami, które jesienią wyruszyły na polskie ulice – w te zimne, deszczowe popołudnia wielu z nich towarzyszył song Żelaznych Wągin, kobiecego bandu, który zadebiutował na scenie warszawskiego kabaretu „Pożar w burdelu” – i nie był to z pewnością ani pierwszy, ani ostatni moment, kiedy to piosenka wiodła lud na barykady. A gdybyśmy mogli, to w Radiu Wrocław Kultura każdą wiadomość o instytucjonalnym zawirowaniu poprzedzilibyśmy także pożarową piosenką o menedżerze kultury w wykonaniu Przemysława Bluszcza. Nie możemy jednak, bo jak na rasowego menedżera przystało, jej bohater nie dość, że rządzi twardą ręką, to i język ma zbyt ciężki jak na standardy radia publicznego.

W tym roku na ogłoszenie programu Przeglądu Piosenki Aktorskiej czekałam z wyjątkową niecierpliwością – marzyło mi się, żeby pożarowy potencjał został w nim wykorzystany. I nie zawiodłam się – to właśnie kabaret Michała Walczaka odpowiada za reżyserię tegorocznej gali PPA, za-

tytułowanej „Muzeum wolności”. „Pożar” serwuje nam apokaliptyczną wizję przyszłości – tytułowa wartość odeszła do historii, a opowieści o buntach, strajkach, wolności wypowiedzi można snuć już tylko w muzeum. Nic dziwnego, że trafia do niego również aktorka podziemnego teatru (Marta Zięba, w rzeczywistości aktorka Teatru Polskiego w Podziemiu, do niedawna związana z Teatrem Polskim we Wrocławiu), która staje się nowoczesnym, interaktywnym eksponatem. Obok niej – znany gościom „Pożaru” Podpalacz Tęczy (Mariusz Laskowski), Michali-

nutach.

Na szczęście w rzeczywistości piosenek wciąż jeszcze nie zamyka się w gablotach. A ich twórców nie knebluje, dzięki czemu mogą zabierać głos w ważnych sprawach i śpiewać o rzeczywistości wokół nas – jestem przekonana, że takim głosem będzie koncert ubiegłorocznego laureata Konkursu Aktorskiej Interpretacji Piosenki Artura Caturiana „Kilka sposobów na to, jak schudnąć, ale zostać szczęśliwym, czyli jak kapitalizm nas tuczy i nie pozwala dojeść”. Czekam na Chór Czarownic, który będzie emanacją siły kobiet.

**W tym roku marzyło mi się, żeby pożarowy potencjał Przeglądu Piosenki Aktorskiej został w nim wykorzystany.**

na Wisłocka (Anja Orthodox), czy aplikacja muzealna „Wolność” (Magdalena Cielecka). Co najsmutniejsze w tej historii, do muzeum trafia też cały dział „Piosenka” ze swoją kustoszka (Magda Umer) – z pewnością

ze względu na rewolucyjną moc, która drzemie w statystycznych trzech mi-

na opowieść o końcu świata wrocławsko-legnickiego Układu Formalnego, który zdobył w ubiegłym roku Tukana OFF. Na piosenki Mai Kleszcz i Agaty Dudy-Gracza do obrazów Jerzego Dudy-Gracza, który kochał wszystko to, co w Polsce koślawe i co próbujemy czasem na siłę i z marnym skutkiem prostować. Czekam na piosenkę, która zostanie mi w głowie. Wcześniej się mocno, pazurami i nie będzie z niej chciała długo wyjść.



Kultura DAB+ Teatr (i nie tylko)

wtorek 16:00–20:00

## POWIEDZIELI W RADIU WROCLAW KULTURA

**Olga Tokarczuk, pisarka, współscenarzystka (wraz z Agnieszką Holland) filmu „Pokot”:**

Na początku był pomysł, żeby plenery nakręcić gdzieś pod Warszawą, żeby było bliżej, wygodniej dla ekipy. Mnie jednak bardzo zależało na tym, by to była ta przestrzeń, gdzie dzieje się historia w mojej powieści. Zależało mi też ze względów lokalno-patriotycznych. Chciałam, aby Kotlina Kłodzka zaistniała w filmie już nie jako miejsce, które udaje inne miejsca. Filmowcy chętnie kręcą tam zdjęcia, bo jest ładnie. W „Pokocie” kotlina



jest sobą, padają nazwy Nowa Ruda, Kłodzko, bardzo dużo zdjęć zostało zrobionych w Bystrzycy Kłodzkiej, szczególnie w miasteczku. Jako statyści występują dzieci ze szkoły w Nowej Rudzie czy myśliwi z miejscowego koła. No i plenery, choćby dla nich warto ten film zobaczyć.

**Cezary Studniak, dyrektor artystyczny 38. Przeglądu Piosenki Aktorskiej:**

Piosenka towarzyszy nam od zarania, od początku ludzkości, odkąd wydajemy dźwięki i dzięki nim się porozumiewamy. W momencie, kiedy zaczęliśmy się świadomie porozumiewać, zaczęliśmy śpiewać. Śpiew albo nas napędza do życia, albo piętnuje to życie, albo je po prostu nazywa. Daje szansę, by pamiętać o starych czasach, żeby się cieszyć, zakochać się. Niewątpliwie niezwykła jest moc piosen-



ki, a niektóre są wybitne właśnie przez to, że się zachowały, że ciągle je powtarzamy. Bywają pieśni naprawdę stare, przekazywane z pokolenia na pokolenia i nikt się ich nie wstydzi. Nikt się nie wstydzi zaśpiewać „Sto lat” na przykład...



# Jesteśmy MIĘDZYNAŘODOWĄ STACJĄ ROKU!

Na największej europejskiej konferencji radiowej EUROPEAN RADIO SHOW 2017 w Paryżu Radio Wrocław zdobyło prestiżową nagrodę „International radio of the year”. O ten zaszczytny tytuł, najlepszej stacji roku, ubiegały się stacje radiowe z całego świata, między innymi z Niemiec, Włoch, Belgii, Hiszpanii, Szwajcarii, a także Stanów Zjednoczonych. Naszymi rywalami były rozgłośnie publiczne, komercyjne, a także komunalne czy społeczne. Komisja konkursowa składała się z radiowych ekspertów z kilku krajów. Podczas wyboru zwycięzcy brano pod uwagę kilka kryteriów, takich jak brzmienie i format stacji, pozycje programowe, strategia rozwoju radia, zaawansowanie technologiczne, obecność w mediach społecznościowych czy kontakt ze słuchaczami. Po analizie tych kryteriów komisja konkursowa uznała, że najlepszą rozgłośnią w roku 2017 jest właśnie Radio Wrocław – publiczna stacja z Polski. – To wielkie wyróżnienie, traktujemy je jako nagrodę za ciężką pracę wszystkich osób tworzących Radio Wrocław – mówi Tomasz Duda, prezes Radia Wrocław.



Mirosław Ostrowski, dyr. techniczny Radia Wrocław z nagrodą

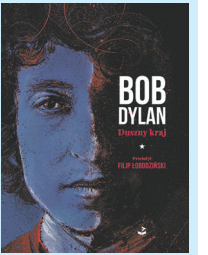


„Tytuł „International radio of the year” dowodzi, że można robić atrakcyjne i misyjne radio publiczne, które może zainteresować i przyciągnąć Słuchacza.”

Tomasz Duda,  
prezes Radia Wrocław

## BOB DYLAN

### CZASY NADCHODZĄ NOWE (THE TIMES THEY ARE A-CHANGIN')



Słuchajcie mnie wy, jakikolwiek wasz los  
oto fala nadciąga, zaleje ten łąd  
więc zrozumcie, to koniec, potop zmiecie was stąd  
jeśli chcecie ocalić głowy  
lepiej uczcie się pływać, bo pójdziecie na dno  
oto czasy nadchodzą nowe

Słuchajcie, prorocy z gazet i biur  
nie będzie pożytku już z waszych piór  
rzucicie je, taka szansa nie powtórzy się znów  
nie szafujcie już swoim słowem  
kto dziś przegrał, jutro odniesie triumf  
oto czasy nadchodzą nowe

Słuchajcie, posłowie, uciszcie swój chór  
i nie tarasujcie już drzwi ani dróg  
bo kto stoi w miejscu, ten poczuje ból  
wszystko jest do bitwy gotowe  
i polecą wam szyby, i się skruszy wasz mur  
oto czasy nadchodzą nowe

Słuchajcie, rodzice, przemija wasz czas  
dajcie porwać się albo jesteście bez szans  
synowie i córki nie słuchają już was  
świat nie myśli już jednakowo  
potępiacie to, czego nie pojmiecie i tak  
oto czasy nadchodzą nowe

Już znak został dany, już nowy ma sens  
wzwyż pofrunie ten, co dziś leży jak śmieć  
z tyłu zostanie ten, co dziś szybko mknie  
bo dawny łąd staje na głowie  
będzie ostatnim ten, co dziś pierwszy jest  
oto czasy nadchodzą nowe

Komentarz tłumacza:

To jeden z najsłynniejszych songów Dylana, który pomimo upływających dekad od czasu jego powstania nijak nie chce się zestarzeć... Bo czasy wciąż nadchodzą nowe. Znowu silnie obecne są obrazy i duch biblijny.

Wiersz pochodzi z książki „Duszy kraj” Boba Dylana w przekładzie Filipa Lobodzińskiego wydanej przez Biuro Literackie (Stronie Śląskie 2017)

# MUZYCZNY ANARCHISTA

## DIETER MEIER (YELLOW) Z SENTYMENTEM O WROCLAWIU

Zurych – miejsce, gdzie pod koniec lat 1970. powołano do życia twór o nazwie Yello (zbitka słów: „yelled” i „halo”, a więc „powitanie wrzaskiem”), zespół tworzący zręby nowoczesnej elektroniki, słynący z co najmniej wyrafinowanego humoru i dużego dystansu do własnej twórczości. Od blisko 40-lat wokalistą i twórcą wideoklipów grupy pozostaje Dieter Meier. Performer, malarz, aktor, pisarz, w końcu twórca filmów – w tym jednego kręconego we Wrocławiu. Meier niedawno bawił we Wrocławiu w ramach sentymentalnej wizyty, i to właśnie ona stała się pretekstem do naszej rozmowy.

**Michał Kwiatkowski:** Yello powstawało po to, by pobudzić ludzi do tańca czy była to raczej artystyczna kreacja?

**Dieter Meier:** Przede wszystkim chcieliśmy odnaleźć i wyrazić siebie w muzyce. Oboje z Borisem [Blankiem] mamy duże poczucie rytmu. Zresztą Boris ma na jego punkcie prawdziwą obsesję. Podobnie jak i ja, chociaż w moim przypadku objawia się to przede wszystkim w sposobie śpiewu. Yello to rytm i dźwięk ubrany w opowieść. Nie zakładaliśmy do kogo będziemy adresować naszą muzykę, nie planowaliśmy też poszczególnych etapów karie-

ry. To, co tworzyliśmy wynikało z wewnętrznej potrzeby. Mieliliśmy przy tym dużo szczęścia, cieszyliśmy się w końcu powodzeniem na listach w Stanach, w Wielkiej Brytanii i w Europie. W momencie, kiedy zaczynaliśmy nasze nagrania były inne od wszystkiego wokół. We właściwym czasie trafiliśmy do ludzi, którym podobało się to, co robiliśmy, i docenili naszą twórczość.

**W Yello za muzykę odpowiada Boris Blank, zaś teksty i wokaliza to już Pańska domena. Ale jeśli chodzi o brzmienie całości, to przyznam szczerze, że zawsze odbierałem Yello jako wypadkową pedantyczności Kraftwerk, nutki eksperymentatorstwa Can, a do tego ekspresji, jaką oferuje tango. Jak Pan opisałby brzmienie Yello?**

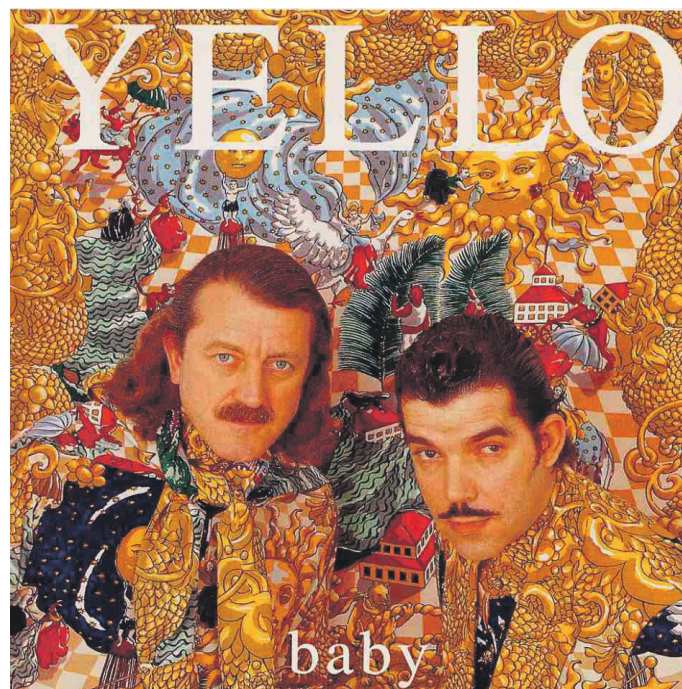
Brzmienie Yello to po prostu brzmienie świata, prawdziwa dżungla dźwięków. Jesteśmy anarchistami, wykorzystujemy każdy rytm, który jest obecny w naszym życiu i który nam się podoba. Kiedy słuchasz Yello, już po 5 sekundach wiesz, że to my, w końcu z głośników dobiega absolutne szaleństwo! Nie jesteśmy więc tak skrupulatni jak Kraftwerk. Ogromnie szanujemy ich dokonania, ale Yello jest zupełnym

przeciwieństwem. To dżungla tętniąca salsą, tangiem, wszystkim, co lubimy i co nas inspiruje! Nigdy nie musieliśmy i nie musimy udowadniać, że działamy według jednego schematu, określonego stylu, któremu sztywno się podporządkowujemy. Kraftwerk to moim zdaniem jeden z najbardziej inspirujących i wpływowych zespołów kontynentalnej Europy. Analogicznie do malarstwa, utwory Kraftwerk są podobne do obrazów Mondriana, strukturalnie złożone i skomplikowane, ale przy tym wypełnione dużym ładunkiem emocjonalnym.

Jeśli chodzi o Yello, Boris w swojej bibliotece zgromadził ponad pół miliona różnych próbek, które latami nagrywał, i których używa jako sampli, w zależności od potrzeby i natchnienia. Piosenka może zacząć się bardzo minimalistycznie, nieoczekiwanie przynosząc całą masę różnych efektów dźwiękowych, a krótki i z pozoru chaotyczny przerywnik jest wstępem do podróży w lata 1950., w świat czarno-białego filmu, w którym Humphrey Bogart prowadzi kolejne dochodzenie,

a za polami jego prochowca czai się muzyka Yello.

**Na początku lat 1990. przyjechał Pan do Wrocławia i zaczął zdjęcia do filmu „Snowball”.**



**Tutaj poznał Pan też Małgorzatę Potocką i Grzegorza Ciechowskiego?**

Małgorzata Potocka sprawiła, że mogłem kręcić we Wrocławiu, a Grzegorz okazał się być uroczym i utalentowanym człowiekiem. Za moją namową zajął się produkcją albumu Mony Mur, której przy okazji pomógł stworzyć artystyczne emploty. Zresztą po dziś dzień Mona Mur doskonale wspomina tamtą współpracę. Prawie rok mieszkalem we Wrocławiu. W tamtym czasie część Hali Stulecia zamieniliśmy w ogromne studio filmowe. Patrząc z perspektywy arty-

sty, muszę powiedzieć, że to był mój najlepszy okres. Działaliśmy w zamknięciu, w pewnego rodzaju konspiracji, tworząc coś unikalnego i pięknego. Niestety, laboratorium, które zajmowało się negatywami, zniszczyło ok. 30 procent klisz. Zamiast premiery czekał mnie więc siedmioletni proces sądowy, który w końcu wygrałem, i ukończyłem film. Ale nawet odszkodowanie nie potrafiło już przywrócić utraconego entuzjazmu. Teraz pasja powoli wraca, postanowiłem nawet, że za kilka lat wrócę do niego i korzystając ze wszystkich dostępnych materiałów, jeszcze raz podejmę się montażu. To bardzo efektowne dzieło.

**W 2014 r. debiutował Pan jako solista albumem „Out of Chaos”. Czy w przyszłości możemy oczekiwać kontynuacji tego projektu?**

Na pewno tak. Kiedy pracuję z Borisem, przeistaczam się w śpiewającego aktora i gram przydzieloną rolę w jego muzycznym filmie. Natomiast w zespole Out of Cha-

os, z którym współpracuję od jakiegoś czasu, sam piszę teksty, wymyślam strukturę piosenki, a doskonalili muzycy tworzący tę formację, uzupełniają moje pomysły. To zupełnie inne podejście. Niedługo ponownie udam się do swojej samotni w Argentynie, gdzie – oddalony od cywilizacji i uzbrojony w gitarę – będę tworzył nowy materiał na płytę i trasę koncertową. Kiedy Yello wystartowało, Boris kategorycznie zaznaczył, że nie zamierza występować na żywo. **A ja to lubię. Lubię opowiadać ludziom historię, zabawiać ich, oddawać cząstkę siebie, patrząc im prosto w oczy.** Dlatego zespół Out of Chaos z pewnością powróci.

**Wrocław to miasto spotkań. Mam nadzieję, że w niedługim czasie będzie nam dane spotkać się z Panem na koncercie, a może na wystawie Pańskich prac?**

Jako artysta marzyłbym o wystawie moich prac właśnie tutaj, gdyby tylko ktoś chciał to zorganizować. Jak już mówiłem, czas spędzony we Wrocławiu był wspaniały. Kiedy w 1990 roku pracowałem nad filmem, urzekło mnie zrozumienie i podejście osób zaangażowanych w ten projekt. Wtedy też zakochałem się we Wrocławiu, i to uczucie wciąż jest we mnie obecne.

**Michał Kwiatkowski prowadzi audycję NIE BYŁO GRANE w soboty od 16:00 oraz rozmawia z Zamieszanymi w Kulturę w niedziele od 10:00.**

